

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 13 lutego 1909 r.

№ 7.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

— Pewnie jakiś aktor—że tak ślicznie ubrany. A gdzie on teraz pokazuje komedye?

— Na tamtym świecie! Roześmiał się z jej naiwności.

— A ta pani, to ma dopiero przedsięwzięcia, no, mogłaby wykarmić całą stację!—wykrzyknęła przed portretem jakiejś damy, wspólnie wydekoltowanej.

— Głupiasz!—mruknął, niemile dotknięty.

— I te wszystkie książki pan przeczytał? —pytała zdumiona, wlekąc palcem po grzbietach książek, poustawianych na półkach.

— Naturalnie! Może co zjesz? Przyniesła zająca z buraczkami, są i borówki...

— A zagraniczne też pan czyta? Z trudem sylabizowała jakiś francuski tytuł.

— Wszystkie, —pocóżbym je trzymał?

— To prawda, co mówią na linii, że pan umie po niemiecku, a nawet parlefranse?

— Prawda. Chodźże, tam zimno, jak w psiarni...

Drzwi za nią zamknął i zaczął spacerować, a Frania zabrała się do jedzenia dosyć łapczywie, ale nie miała apetytu i odstawiła wszystko na okno.

— Przecież zajączek nie hulnie przez szyby, co? A rano będzie wsuwa—że no!

Nie odpowiedział, zasiadła znowu do cerowania, podnosząc co chwila na niego oczy, pełne cichego podziwu.

Józio chodził nieustannie, ale niekiedy przystając przy oknie, patrzył w noc, na czerwone światła uciekających pociągów, i wzdychał jakoś tęskliwie.

— Czy to prawda, że pan Józio był dziedzicem?—spytała cichutko, lękliwie. Potwierdził, uśmiechając się dziwnie żałośnie.

— I miał pan prawdziwy dwór? I cugowe konie? I karety? I służbę w liberyach? I w kościele siał pan przy ołtarzu w osobnej ławce? Wpiła w niego oczy zgorączkowane jakimś wspomnieniem.

— Miałem! Miałem! Miałem!—powtarzał coraz ciszej i smutniej.

— I wszystko poszło... fiut, na bory i lasy! Błysnęły łzami jej złote rzęsy.

— A poszło, psiakrew, poszło!

— I żydy zabrały do ostatniego grdynia, jak panu Raciborskiemu, co?

— A wzięły! Nie warto nawet wspominać, nie warto. Westchnął ciężko.

Chwyliła go za rękę i całowała z głębokim współczuciem.

— Mój biedny dziedzic, moja sierota, mój jasny pan...

Wyrwał się dosyć szorstko

i pogwizdując rzekł prędko, jakby gniewnie.

— Mniejsza z tem! Cóż tam słyhać na linii?

Ale Frania opowiadała niechętnie i o rzeczach, dosyć mu znanych.

— Gdzie byłaś i u kogo?

— U pana Mikada siedziałam całe trzy miesiące.

— I w końcu cię wylał!

— Wcale mnie nie wylał, tylko że wyjeżdża do Paryża i rzuca służbę... Stanął, jak wryty, i długo nie mógł wydobyć ze siebie głosu.

— Mikado jedzie do Paryża? Mikado? Wziął cię na dobry kawał.

— Nie, napewno jedzie, już sprzedał całe gospodarstwo, kupił od niego ten nowy dozorca, który przychodzi na jego miejsce. Sama naczelnikowa uczy go po francusku. Ma wyjechać już w przyszłym tygodniu, ale obiecał wyprawić na pożegnanie wspaniałą bibę. Pojedzie pan do niego?

— Obejdzie się żydoskie wesela bez marcepanów. A skądże wyrwał gotówkę?

— Dali mu jacyś państwo z Krakowa.

— Wielbiciele talentu!—szepnął drwiąco. — Naturalnie, poznali się na jego genjuszu! Nowy Matejko!—myślał, pełen zawistnej złośliwości.

Naraz z dołu buchnęły takie wrzaski, jakby się tam zarzynano.

— Hołota—psiakrew! Nie po-

dobna już wytrzymać w tym domu.

— Zwyczajnie, jak w każdym małżeństwie!—zaśmiała się cichutko.

— To bydlę młóci ją prawie codziennie. Ale—że nie puści kan-tem takiego draba!

— Bo najgorszy mąż jest lepszy od żadnego, a pan Soczek nie taki zły, nie...

— Znasz go z czasów kawalerskich, co?—rzucił wzgardliwie.

— Ale nie w taki sposób, jak pan myśli, nie!—zaprzeczała skwapliwie.—Przychodził często do moich rodziców, był jeszcze pomocnikiem i nieraz woził mnie na rezerwie po stacyi, miałam z dziesięć lat, dawno już temu, dawno...

Wrzawa przycichła, rozlegały się tylko rozsłochane lamentey.

— Słyszysz, jak ryczy? zdrowo ją wypucował!

— Wcale jej nie żałuję, to ziółko, jak one wszystkie, jabym z nich kija nie zdejmowała, pan nie wie, co to są za cymesy! Damy, psiakrew! byle kocmołuch, a nos zadziera do góry, jak jaka hrabina,—syczała nienawistnie.

— Musiała ci dobrze zalać sa-dła za skórę?

— Niechby tylko która sprobo-wała!

— Moja Franiu, co mnie to wszystko razem obchodzi!

— A jakie flejtuchy i próżniaki!—ciągnęła zapalczywie, nie zważając na jego zniecierpliwienie.—Przecież jak się przejeżdża którąkolwiek stacyę, to z każdego łuficka wyglądają—niby z budy pofryzowane pudle. W mieszkaniach nigdy niesprzątnięte, dzieci obdarte, wszystko aż lepi się od brudu, mąż idzie na służbę bez śniadania, bo pani niema czasu o tem myśleć, musi pilnować pociągów i szczerzyć zęby do pasażerów. Naturalnie—że front mają wystawny, wypchany ręcznikami, włosy ufryzowane, facyaty, dobrze otynkowane i pooblepiane muszkami, wargi, jak krew, i bluzki—niby na bal, a oficyny za to w brudnych, obszarpanych kieckach i dziurawych pończochach,—tego przecież nie widać z peronu! Znam ja je dobrze. A nieraz też widzę, jak to mąż wraca spracowany ze służby, a w domu pusto, zimno i niema co włożyć do pyska, bo pani na kawce u przyjaciółki, albo pojechała na romanse do Warszawy. A jak przeklinają swój los, jak się ciągle skarżą na biedę i na brak przyjemności. Myślałby kto, że się po-

rodziły w pałacach. Na własne uszy słyszałam, jak pani Paleska krzyczała na swojego: „ukradnij a dawaj, od tegoś mąż! A niechcesz, to znajdzie się taki, co będzie miał dla mnie i na powozy“. Jabym taką małpę zbiła, jak psa, i wypędziła na ulicę, niech sobie poprawi losu! Mówili, że pan Krukowski pompnął kasę na hulanki z dziewczynami, nieprawda, musiał żonie sprawić po dziesięć sukien na rok i gości ciągle przyjmować, żeby się tylko żonusia nie nudziła, i teraz biedak doi kozę, a jasnie pani kasyerowa spaceruje w podartych bucikach i przeklina zły los i złodzieja!

Rozgadała się już na dobre, przytaczając coraz więcej szczegółów i nazwisk, ale Józio nie słyszał, myślał bowiem z jakąś upar-tą, mściwie biczącą się złością.

— A ja! A ja! A ty zawsze będziesz tylko patrzył na przechodzące pociągi, zawsze będziesz tylko sprzedawał bilety i zawsze będziesz marzył o niebieskich migdałach! Zawsze, zawsze!

DCN.

Zygmunt Bartkiewicz.

63.

5

*
**

Między zabudowania folwarczne padł głuchy łoskot i jednocześnie pod ziemią się ozwał, aż zadrzęta zgrzybiała stodoła i dzieci-śpicherki.

Chłop, idący od pola, drgnął, liczy:

— Dwa!.. cztery!.. Armaty...

I spojrzął wokoło.

Parobek wiadro u koryta przechylił, zamarł i słucha. Porządkowy kół ciosał, u wióra siekiere zatrzymał, opodał dwóch za łby się wzięło, z rozstawionemi rękami zastygli, bez ruchu.

— Raz... dwa... trzy... cztery...

Młot w kuźni ustał, nawołujący od dworu głos wpół imienia urwał, a konopiasty dzieciak w ka-

łużę patyk opuścił, głowę pochylił do pola.

— Bum... bum...

Wszystkie sprawy ludzkie pokryła cisza—i trwała chwilę, aż nagle ostry krzyk w nią uderzył, płaczem się rozległ:

— O, Jezu, O, Święta Panienko!

I w tej chwili już gwar powstał, z budynków wybiegli mroczni parobcy, baby rozełkane. Dwóch siadło na szkapę, — pognali przez pola.

U drogi gromadka kobiet. Na kolana padły; jedna z nich głośno odmawia litanie, inne, czołgając się po ziemi, drą chusty na głowach, błagają:

— Zmiłuj się nad nami!

— Wybaw nas, panie!

Na chrapiącej szkapie, gubiąc

płaty piany za sobą, chłop sadi; w rozkolysany bólem i trwogą tłum cisnął dwa słowa:

— Moskale idą!

I pomknął do dworu, do jadalni wpadł.

— Moskale idą!

Kozłowski od stołu się porwał.

— Co? Gdzie? Kto powiedział?

— Widziałem... Od brzeziny chmara.

Dech w nim zaparło, jasne oczy wylupił, w twarz dziedzica patrzył bez trwogi. Strach nad nim mocniejszy.

Zabiegali we dworze. Zapłakana klucznica, pijany kucharz, ogłupiałe pomywaczki, w jadalni zjawili się wszyscy—i w krzyk, lecz

wnet pan Walery przytomność odzyskał.

— Kufry tutaj w mig! Beczki pod srebro! Żywo... Ogrodnika do mnie!

Wśród rozpaczliwej bieganiny, rozgwaru, przekleństw, rozkazów, brzęku tłuczonego szkła, w kilkanaście minut kredensowe srebra, herbowe półmiski, pudra z przyborami, cenne toaletowe szkatułki, zrzucono jedne na drugie w wielkie dębowe beczki, pan Walery każdą pieczęcią sygnetu opatrzył, smołą zalał ogrodnik, i już parobcy spuścili je do stawu na sznurach.

Potem otwierano nie bez trudu stare sepety, kute w misterne miedziane floresy, kufry, jak landary wielkie, od pół wieku zawarte, tchnące chłodną wilgocią, i sły w nie pani jedwabie, koronki, pasy i te, szale tureckie, stare kaszmiry,—lw największym poszanowaniu przez lata utrzymywane pamiątki, ładowano byle jak, byle prędzej...

— Już są na grobli!—we drzwi jadalni huknął chłop dworski.

— Starą kuźnię minęli,—laboga! laboga!—biegł drugi.

A od wsi co chwila zjawiali się ludzie; blade, drżące babiny z płacem ścisnęły kolana dziedziców, prosząc o przyjęcie do przechowania najcenniejszych skarbów rodziny. Ta weniak kraśny przyniosła na dwa palce gruby, tkany przez lata, tamta korale, stara komornica—jedyną własność, kieckę do trumny, inna biedaczka—związaną w szmatki srebrną obrączkę.

Zymał się pan Walery, ale dobra pani na wszystko miejsce znalazła, nawet nowe buty juchtowe na kijku zachowała dziadowi, tylko zawahała się chwilę, gdy drugi wielki kozuch skudłony do rąk jej cisnął.

— Ni baby, ni dziecków, jasna dziedziczko... To jedno...

Od czworaków wieść o kozakach przybiegła; niedomknięte, powiązane sznurami kufry za ogrodnikiem parobcy ponieśli; pan Walery po deskach podłogi, po ścianach spojrzął, mruknął do żony:

— Kościuszkę na strych... Portrety ze ściany zdjąć, bo oni wspomnień nie lubią.

— No, przecie dziadek, babka. Cóż to im szkodzi?

— Nie wolno mieć dziadków.

I dodał po chwili:

— A nie wyrwij mi się z jakim głupstwem: z miłością ojczyzny, czy tam z Polską—od morza do morza, bo chałupę nam spalą. U nich nie kupić...

Chwila jeszcze, i wśród przykraj ciszy, jak gdyby wieś cała wy-

marła, z parsaniem koni i gwarem żołnierzy, zatętniły kopyta, dźwięknął krótki głos trąbki na postój.

Spieszeni dragoni w tej chwili kopę siana rozrzućili w dziedzińcu, koniom zwolnili popręgów, major łańcuch widet zarządził, i pogodny, uśmiechnięty, jakby do sąsiada w odwiedzinę przybył, krótkim kłusikiem ku dworowi ruszył.

„Otrekomendował się“ z czynem i orderami, parę razy dziedzińca za rękę uściśnął, pani domu ucałował obie, o dzieci zapytał i swobodnie za stołem siadł.

— Jaż brat wasz, dobre państwo moje, z matki Polki, tutaj zrodzony starinnego pokroju człowiek, wszystko rozumiem. Pod księciem Konstantym służbę rozpoczął, pił z ułanami... Oj, grzechy, grzechy...

Zamyślił się chwilę i czekał, aż oszołomiony gospodarz przyjdzie do siebie, tymczasem oczami po komnacie wodząc, wzrok na samowarze zatrzymał.

— Ot, sławna maszyna!

— Zaraz, zaraz!.. A jakże...

Zakrzętnął się gospodarz, pani wysunęła do kredensu, obok, i za chwilę już pokojowej dziewczynie w sztywnym, jak skóra, perkalowym kaftanie i z nasadloną głową „od gości“, z rąk leciały talerze. Co spojrzy w stronę majora, wnet ją cosik zamroczy—i jakby kijem wyciął przez ręce, a ten przygaduje jeszcze:

— Ot, szkodę państwu przyniosła, a zdrowa jaka! He, he, he... pan Kozłowski...—i oko przymrużył,—żyć nie umierać waszemu bratu... Oj, babski wy naród! U was i adjutanty—baby.

Na stole już złoto-bursztynowy płyn błysnął w karańce, obok polskie pocziwe śliwki z kminem, na patyczki nadziane; skromnego wyglądu smakowite gomółki, serki rozmaite, kolorem i kształtem odmienne; płaski chleb wiejski, róża w maśle rzeźbiona, przybór do kawy—i baba dorodna, wreszcie z kuchni przyniesiono półmisek, na nim kaczek piersi złociste.

— Niech-że pan pułkownik pozwoli.

Zwierciow powstał, pałasz odpasął, w kącie go ustawił, ręce zatarł i po krótkich, strzyżonych wąsach mlasnął językiem.

— Ot, za co was lubię! Za prosty obyczaj, serce na półmisku u was... zerknął po stole. — Nu, gospodarzu milejszy, wódeczka aż mruca.

— Oj, wytnie on mi kuranta, wytnie!—zatrwożony tą dobroduszością, myślał pan Walery, przepi-

jając do gościa. Ten wypił i, kołysząc się, gładził po piersiach.

— Aj, sławna! Aj, wodka, tak wodka... Soli szczeptokę,—i zaraz po drugiej... Wy z sercem, ja z sercem...

W podwórzu nagle podniosły się głosy, konie gęsto zarżały, a za chwilę na ganku brzękły ostrogi, we drzwiach salutował dragon:

— Połkownik książ Zagreba-Trockij.

Zaledwie mocny zapach stajenno-okowito-dziegciowy po jadalni szerzej się rozszedł, już meldowany skłonił się zlekka, do majora szedł z powitaniem.

— Paweł Grigorjicz — kakimi sud'bami! —Zwierciow za ręce go ścisnął.—Ot, niespodzianka, ot, tobie, gospodarzu, radość! Jaśnie oświecony Paweł Grigorjicz,—a tu właśnie i wódka, i—biez ceremonij pułkownik.

Książ niedbale rękę gospodarzowi podał, pani się skłoniła.

— Madam!

— Nu, už madamy; my swoi ludzie, siadaj i jedz.

Pułkownik rośły, mało rasowy, choć urodziwy, długie bokobrody rozgarnął, na opiętym mundurze orderów poprawił i dobrym francuzkim językiem do gospodyni o pogodzie zagadał. Nie tłumaczył się zgoła, bo nie pojmował księża pan, dla sportu i zasługi „usmirenja“ do Polski przybył, aby w zabrany kraj za najazd domu wypadało kogoś przeproszać.

Z dalszej rozmowy okazało się, że zwabiony wystrzałami, z pobliskiego lasu, gdzie z ogarami na powstańców polował, spieszył z odsieczą. Po drodze spotkał pikietę i miło mu z majorem trochę pogadać—a ruszyć, gdyż jakiś Oksiński z oddziałem się błąka, ludzi mu już urwał sporo, a sam się jakoś wywija, oczywiście do czasu, bo dziś, jutro, czekają go baty—i sosna.

— Ja go znam, chitry on biestja... Ale wódka — car wódka... Ej, Paweł Grigorjicz!

Na stole zjawily się z węgierskim winem smukłe bocianki, i żwawa potoczyła rozmowa, choć gospodarz niewielki brał w niej udział, o stracie, jaka go czeka, rozmawiał. Boć że wydrze major krwawicę, to pewna, lecz ile, i co zrobić, aby się choć w części od kłęski uchronić.

Pani płonęła, to bladła, płaczu serdecznego blizka, wśród tych ścian nagich, obok drwiących oficerów moskiewskich, do których żywiła wrodzoną nienawiść i dawną obawę z tych czasów, kiedy to:—przyjdzie moskał, zabierze cię... straszyla ją niańka.

— O, jaki brodaty wielgachny, oczy mu się świecą.. — odżyło w mózgu wspomnienie. Nagła ciemność spłynęła — i zdało się jej, że w noc bezsennej utkwiała oczy wserca okienic i drży, bo tam, za niemi — on stanął, już wszedł, już do łóżeczka z workiem się skrada... Zatrzepotało w niej serce, głowę podniosła: wielki, brodaty tuż przy niej — i patrzy...

Krew zbiegła od twarzy, chłód w skronie uderzył, chwiejąc się na nogach, wyszła z jadalni, a gdy płacz zbawczy buchnął jej z piersi, przyszła ulga z łez falą.

— A ja tobie co powiem, Kozłowski, ty mnie się podobał — i choć ty do brzeziny miatieżników puścił, ja tobie za chleb i za sól dziękuję... Ale — ty człowiek z rozsądkiem, rozumiesz... — po karafkę sięgnął, wódki się napił. — Jaż dobrze mówię, sam ty rozumiesz, co za nasze bezpokojstwo nam trzeba.

— Nie wiem, doprawdy...

— Nu, poño! Sercem za serce, ja człowiek prosty. Dziesięć procentów od majątku dasz...

— Gwałt, rozbój! — od stołu gospodarz się zerwał.

Wtedy pułkownik ciężkie ręce na ramionach mu oparł i zimnym bładym wzrokiem w siną twarz spojrzął.

— Kazakow kliknu...

— Tak zrozum-że, serdeczny, co my biez gwałtu prosim...

*
**

Na zmrok się już miało, gdy w dziedzińcu zadźwięczał skoczny, radosny głos trąbki.

Z piekarni wytoczyła się ciżba dragonów, a z niemi w poszarpanych chustach kulka dziewczuch folwarcznych. U stodoły, wśród rozrzuconych gnatów wołowych, chmury pierza, karabinów, ustawionych w kozły, i poklutyk prosiąt, obozowała piechota, a opodał, nad pojęciami worami z owsem, postępując drzemaly konie.

Przy studni, w cieniu koryta, na sino różowej kwiecistej pierzynie rozciągnął się młody podporucznik. Upił się z żalu, że nie poproszono go do dworu na obiad. Nad nim, z wiadrem w rękach, krępy „dieńszczyk“ rozmyślał: — lać, — nie lać, — drugi za ręce, za nogi szarpał śpiącego.

— Ej, Wasze bła-aorodje! Signał!...

Oficer blade, senne oczy otworzył na chwilę.

— Ja dwarianin... Ja... Ja formy znajdu... Plewać! mnie na ichnij abied...

— Lej, Wania!

Chmurny pan Walery wiódł drogich gości. Burzyła w nim wściekłość wobec tej przemocy, której nigdy dotąd nie uległ.

— On winien, przeklęty Langiewicz. Syna mi zabrał, oni za nim tu przyszli... Poczekaj!

A major żartował.

Kozłowskiemu w głowie się

ćmiło, zaś w ramionach czuł moc taką, jak nigdy. Jakżeby kniazia w łeb grzmotnął, a potem zadławił majora. I palce skurczyły mu się, jak szpony, odbiegła przytomność, gdy na krzywdę swoją spojrzął w podwórze.

Nagle krwią zaćmiony wzrok Kozłowskiego uderzyła postać skępowanego człowieka. Zbliżył się, Grzybowskiego rozpoznał.

— Taż twoja duszyczka, mileńki, a nam tylko kłopot Co z nim? — do pułkownika się zwrócił.

Powlekli starego pod ręce, a za chwilę z pieśnią „o pszczołce“ oddział wioskę opuścił.

Stał syn Grzybowskiego, ręce zaciskał, aż stawy chrzęszczały, łbem w ścianę tłukł, chrzypiał:

— Jezu, Maryja... Jezu, Maryja!

Obok drżący blade Kozłowski na kołyszającego się zlekka u belkowania stodoły trupa patrzył i myślał o synu. Po chwili, ślaniając się, do chłopca zbliżył, ręce na ramionach mu wsparł.

— Langiewicz... Langiewicz ojca im wydał, — ojciec chłopów buntował... Rozumiesz?

Grzybowski, suche, płonące oczy rozwarł szeroko, nagle blask zrozumienia przez mózg mu przeleciał, i chłop runął do nóg dzieżdicowych.

— Jaśnie panie... Bóg zapłać.

DCN

Stefan Krzywoszewski.

PRZYWÓDCA.

7

Akt II.

Dramat w 3-ach aktach.

BRUKWA. Przynajmniej jeden w tych czasach będzie szczęśliwy. Niech wam Pan Bóg błogosławi!

MARYA (*śmieje się sucho*). Jest i błogosławieństwo!... he... he...

WŁADYSŁAW (*łagodnie*). Niema się z czego śmiać.

MARYA (*szyderczo*). Rozczulająca scena rodzinna!

(*chwila milczenia*)

LUDKA (*z łagodnym wyrzutem*). Czyż to ci sprawia przykrość? Wiesz, jak ci jestem oddana.

MARYA. Ależ wiem... wiem (*do Kazimierza, ironicznie*). Któż pana teraz zastąpi?

KAZIMIERZ (*nie rozumie*). Jaktó, z astąpi?

MARYA (*j. w.*). No... pan odda się teraz innym obowiązkom... nierównie słodszy...

KAZIMIERZ. Przepraszam bardzo, ale ja wcale tego nie rozumiem.

LUDKA (*żywo*). Ja mam być przeskodą w pańskiej pracy, w tem, co pan robi? W takim razie ja nie chcę...

KAZIMIERZ (*łagodnie do Maryi*). Ja mam nadzieję, że znajdę w pannie Ludce towarzysza moich trudów i walk.

LUDKA (*radośnie*). Tak! Tak!

KAZIMIERZ (*zwraca się do Ludki*). Pani wie, na jakie życie naraża się ze mną? Ciężkie życie, niespokojne, nie zawsze bezpieczne...

LUDKA (*j. w.*). Tak!

WŁADYSŁAW. Czyż człowiek,

który żyje dla innych, nie ma już prawa kochać, musi być pozbawionym własnego szczęścia domowego?

BRUKWA (*z przekonaniem*). Tacy są właśnie najgorsi!

WŁADYSŁAW. Ja sam przecież... (*urywa*). E, co tu mówić, nie mogło się stać nic lepszego! (*wskazuje na Kazimierza*). To jest człowiek całą gębą... a ona (*zwraca się do Ludki*) — to jest serce. Jeśli wy nie będziecie szczęśliwi, to już rzeczywiście... byłoby dziwne. Słuchajcie, nie mamy innego trunku w domu... (*berze w rękę szklankę herbaty*). Mania skazała wódkę na wieczne wygnanie... Więc choć herbatą... Zdrowie młodej pary!

BRUKWA. Doskonale! (*trąca się*)

z Ludką i Kazimierzem). Wszelkiej pomyślności... z szczerego serca...

(Wszyscy trącają się, Marya trzyma się na stronie).

KAZIMIERZ. Dziękuję!... Dziękuję...

WŁADYSŁAW (wesolo). Teraz... skoro zaręczyny dokonane, ceremoniał pozwala, ażebyście się pocałowali!

LUDKA (z uśmiechem). Nieznośny! Zawsze nieznośny!

BRUKWA (podochocony, do Kazimierza). Jeśli ceremoniał pozwala... Jąbym nie darował!

WŁADYSŁAW. (do Brukwy, wskazując Kazimierza). Strasznie mało ma odwagi.

LUDKA (podaje Kazimierzowi obie ręce, które on podnosi do ust i całuje gorąco). Ma pan, żeby nas dłużej nie męczyli.

(Marya wstaje gwałtownie i odchodzi do okna).

BRUKWA. Pani Marya dziś nie w humorze...

WŁADYSŁAW (sposępniat). Czyśmy cię czem urazili? Albo może to, co się stało?..

MARYA. Nie myślisz nad tem, co mówisz... Proszę, nie zajmuj się mną.

KAZIMIERZ (przybliża się do niej). Chyba na mnie pani się nie gniewa?

MARYA (śmieje się sucho). Na pana? Zkądże znowu! Życzę panu dużo szczęścia (patrzy w stronę okna, które zwolna czerwienieje). Co to jest? Patrzenie! (wszyscy biegną do okna).

BRUKWA. Jezus Marya! Dom dyrekcyj!

WŁADYSŁAW. Już buchają płomienie... z dwóch stron... (W oddali słychać krzyki, zaczynają bić dzwony pożarne na alarm).

LUDKA. Ogień! Trzeba ratować!

MARYA (szorstko). Kogo? Nie twoja rzecz!

KAZIMIERZ (przez okno do przechodzącego robotnika). Panie Rzecki, co się dzieje?

ROBOTNIK (z za okna). Szukamy właśnie pana. Zaraz idę... (Kazimierz spieszy ku drzwiom, wszyscy pędzą za nim).

BRUKWA (został przy oknie). Jezus Marya! Z dwóch stron! (wchodzi robotnik).

KAZIMIERZ (nerwowo). Dom dyrekcyj?

ROBOTNIK. Tak. Straż jest gotowa, ale nadbiegli towarzysze... Nie pozwalają ruszyć sikawkom.

LUDKA (głęboko poruszona). Tam przecież mieszkają ludzie! Mogą być dzieci! Na miłość boską, ratować!

MARYA (gwałtownie). Pałac dyrekcyj? My mamy ratować?

KAZIMIERZ (do robotnika). Podpalenie?

ROBOTNIK (niepewny). Zda się...
LUDKA (skłuta błagalnie ręce). Panie Kazimierzu, jeśli pan mnie choć odrobinę kocha!

BRUKWA. Przecież to także ludzie. Zbrodnia, po prostu zbrodnia.

MARYA (z dzikim tryumfem). To rozpoczęte dzieło zniszczenia.

(Kazimierz stoi pomiędzy Maryą a Ludką; widać, że w duszy jego toczy się walka).

WŁADYSŁAW. Przyszła na nich kolej!

MARYA (do Kazimierza). Czy pan będzie stawał w ich obronie? Za wszystkie nasze męki?

LUDKA (chwyciła go za ramię). Tam mogą ginąć niewinni. Nie spieszyć im z pomocą—to byłoby pomagać zbrodni. Zbrodnia zawsze zostanie zbrodnią! Panie Kazimierzu!

(Kazimierz milczy bez ruchu).

(Za sceną ruch, przebiegają robotnicy, słychać głosy:

— Więc jak? Znaleźliście Łomęckiego? Gdzie jest? Co powiedział?)

KAZIMIERZ (nagle, głosem stanowczym, nie dopuszczającym repliki). Nasza sprawa nie potrzebuje podpalczy! Ratować! (wybiega szybko, za nim robotnik i Władysław. Na twarzy Maryi znać tajoną wściekłość, Ludki twarz wyraża entuzjazm).

(Zastona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Scena przedstawia ogródek przy małym domku murowanym. Z prawej strony poprzez otwarte drzwi werendy widać skromnie, lecz ze smakiem umeblowany pokój. Za niezbyt wysokim parkaniem, odgraniczającym ogródek, ciągnie się ulica. W głębi widać budynki fabryczne. Z lewej strony ogród zamknięty jest boczną oficyną innego domu.

Ciepłe popołudnie jesienne.

Scena 1.

Ludka—służąca.

(Służąca na krześle w pokoju stoi i przybija na przeciwko drzwi gwóźdź. Ludka na werendzie trzyma w ręku duży zegar ścienny).

LUDKA (przypatruje się bacznie pracy służącej). Tak.. teraz dobrze. Będzie go widać z werendy... (z odzieniem dumy). Słychać go będzie w całym ogrodzie.

SŁUŻĄCA (na krześle). Tak ślicznie dzwoni. Głos to—jak ze srebra... (bije w gwóźdź).

LUDKA. Prawda? Już dość mocno... (idzie do niej do pokoju). Czeka, teraz trzeba ostrożnie zawiesić... (podaje służącej zegar). Ostrożnie... (Służąca zawiesza zegar). Tak... dobrze. Poczekaj chwilę, — zobaczę, czy prosto. (Wraca na werendę i mierzy wzrokiem zegar). Doskonale.

SŁUŻĄCA (zeszła z krzesła i staje w drzwiach werendy). Dopiero pan się zdziwił! Żeby tylko akurat zaczął dzwonić.

LUDKA (zabsorbowana). Zobaczmy, jak się teraz wyda głos. (Idzie do zegara, pociąga za łańcuszek i wraca na werendę. Zegar zaczyna bić).

SŁUŻĄCA. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... (kłada ręce w ręce). Ślicznie.

LUDKA (podchodzi do zegara). Gdyby pan nie zauważył, to przysuniesz się po cichu i pociągniesz tu. (Pokazuje). Wtedy zacnie bić, rozumiesz? I pan będzie musiał spojrzeć.

SŁUŻĄCA (zbliża się do zegara). Tutaj, proszę pani?

LUDKA. Tak, ale delikatnie, żeby nie popsuć. (Po chwili). Pana tylko patrzeć.

SŁUŻĄCA. Podobno w mieście, proszę pani, to taki strach... Sklepy pozamykali... Na ulicach coraz więcej ludzi... Rzeźniczka tak się boi tej dzisiejszej... demonstracji, że okna deskami zabiła.

LUDKA. Naley świeżej wody (podaje jej wazon z kwiatami). I na miasto bez potrzeby nie wychodź.

SŁUŻĄCA. E, mnie tam nic nie będzie... (zatrzymuje się w drzwiach). Już, jak ta bomba wtedy nic mi nie zrobiła, to widać, proszę pani, nie sądzone... (wychodzi).

(Ludka krząta się przez chwilę sama na werendzie, schodzi do ogródka, w furcie ukazuje się Kazimierz).

Scena 2.

Ludki, Kazimierz.

LUDKA (sposztyglony go, biegnie ku niemu). Jesteś, już byłam niepokojna.

KAZIMIERZ (całuje ją kłiwie). Spotkałem Brukwę i zatrzymał mię.. Żal się patrzeć na biedaka... Przyjdzie tu za chwilę...

LUDKA. Ciągłe tak samo?

KAZIMIERZ (nie puszcza jej). Ja się boję, że to już może zostać. Takie wstrząśnienie!

LUDKA (wymyka się z jego rąk i przesuwając dłoń po czole). Okropne

Ach, Boże drogi! Kiedy to się wszystko skończy?

KAZIMIERZ (*tuli ją znowu*). Wstydz się! Pamiętasz, obiecywałaś, że będziesz, jak żona żołnierza... (*po chwili*). Mnie jeśli trwoga czasem bierze, to z innego powodu...

LUDKA. Z innego?

KAZIMIERZ. Czy można być bezkarnie tak szczęśliwym! (*rozgląda się*). To wszystko tutaj... i taka śliczna pani, taka moja...

LUDKA (*tuli się do niego*). A pan mój... (*całuje go w usta*).

Tymczasem służąca weszła z kwiatami, spostrzegła Kazimierza i skradła się do zegara, pociągnęła za sznurek, zegar zaczyna bić.

KAZIMIERZ (*odwraca się ździwiony*). A to co? Zegar? (*patrzy na Ludkę, która porozumiewa się uśmiechem ze służącą*). Jaki piękny!

LUDKA (*skacze do góry z radością*). Moja niespodzianka. Tyś niczego się nie domyślał (*dumnie*). Z własnych oszczędności.

KAZIMIERZ. Ty, dzieciaku! Czy

nie wstyd myśleć ci teraz o takich zbytkach?

LUDKA (*poruszona*). O, przepraszam, to nie żaden zbytek. Bez zegara w domu nie można sobie dać rady... Kasia nigdy nic na czas nie mogła zrobić.

KAZIMIERZ (*z uśmiechem*). Niby nie masz zegarka.

LUDKA (*zmartwiona*). To co innego... E... ja myślałam, że się będziesz cieszył, a tymczasem gniewasz się na Ludkę... Niedobry!

KAZIMIERZ (*spoważniał—ciepło*). Nie gniewam się wcale... (*obejmuje ją w pól*), tylko teraz myśleć o takich drobiazgach, wydawać pieniądze... (*spojrzał na jej twarz, ujrzał zmartwienie*). Przepraszam, zrobiłem ci przykrość... Ale pomyśl, od dwóch tygodni fabryki zamknięte, właściwie jesteśmy bez chleba, nie długo mogą nas wyrzucić z tego mieszkania.

LUDKA (*trochę rozpieszczony*). Naprzód, ja obstałowałam zegar już dwa tygodnie temu. A potem, to pewnie znowu się załatwi. Pamiętasz ten

strejk, kiedyśmy się zaręczyli? Mówiliście również, że to już koniec, że to już ostateczna walka... Ile było potem strejków w ciągu ostatnich miesięcy!

KAZIMIERZ. Teraz zarząd zamknął fabryki, nam wypowiedziano miejsce. Dyrektorzy wyjechali.

LUDKA. Tyle razy doprowadziłeś do zgody, do porozumienia...

KAZIMIERZ (*ciszej*). Dziś już nie mam dawnego wpływu—może dlatego właśnie... Twój kuzyn ma teraz większy posłuch.

LUDKA (*porywczo*). Władzio? Przecież ty chciałeś dla nich dobrze.

KAZIMIERZ (*zamyślony*). Nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę... Mówią, że się zmienilem (*widocznym jest, że próbuje odepchnąć myśli, które mu się narzucają*). Czyż to ja się zmienilem? Czyż nie zmieniły się warunki, czyż oni sami wiedzą jeszcze, czego chcą, dokąd idą... Oni nie mogą zrozumieć, że... (*postrzega Brukę, który wszedł furtką od ogrodu*). O, pan Bruka.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

7

Przekład z angielskiego.

Lecz cudzoziemiec wyjął szybko cygaro z ust i rzucił je precz. — Obejdzie się bez palenia,— usłyszała Domini, jak rzekł po francusku.

Zatem szedł dalej z Hadim w ciemności.

Kiedy już zniknęli, Domini usłyszała tęskne przenikliwe dźwięki woddali. Była to muzyka afrykańskich oboistów.

Noc była cudownie sucha i ciepła. Gęsto rosnące drzewa w ogrodzie zaledwie się poruszały. Było bardzo cicho i bardzo ciemno. Zuzanna, stojąca w oknie, wyglądała, jak cień, w swej białej szacie. Postawa jej była romantyczna. Być może, wpływ wytworny tej miejsciny w Saharze poczynał zwolna poruszać jej ciężkiego ducha.

Domini poszła wcześniej do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Koło samej północy usłyszała, jak ktoś chodził tam i z powrotem w dole na werendzie. Kroki zbliżały się i oddalały, zbliżały, znów oddalały, bez przerwy, aż wreszcie przyprawiły ją o prawdziwą gorączkę nieusposobienia. Dopiero, kiedy druga wybiła na kościele, ustały nareszcie.

Domini pomodliła się cicho do Matki Boskiej opiekuńczej, Panny Błogosławionej, która patrzy ku Afryce. Po raz pierwszy bowiem uczuła samotność swego położenia i to—że jest bardzo daleko.

V.

Nad ranem Domini zasnęła. Była prawie ósma, kiedy się zbudziła. Pokój był pełen łagodnego światła, które jej oświadczyło o słońcu nazewnątrz; wstała rażno od razu, włożyła pantofle i otworzyła okno na werendę. Beni-Mora było już skąpane w złotych promieniach i pełne ruchu czynnego. Stało kóz dreptało ku krańcowi oazy. Ogrodnicy arabscy zmiatali leniwie drobne liście z wązkich ścieżyn pod drzewami mimoz i pieprzowemi. Żołnierze w luźnych białych ubraniach, w ciemnoniebieskich pasach i fezach, szli spieszenie od fortów ku rynkowi. Od wioski dochodził daleki dźwięk rogu i słychać było pomruk wieblądów. Domini chwilę stała na werendzie, pojąc się powietrzem pustyni. Dawało jej to uczucie czy-

stości i rzeźkości, jakby istotnie kąpała się w czystej wodzie. Patrzyła na przezrocze niebo, które zdało się być pełnem nadziei i mocy udzielania błogosławieństw—i rada była, że przybyła tu, do Beni-Mora. Poczucie osamotnienia z uprzedniej nocy minęło. Stojąc tak w słońcu, była świadoma, że potrzeba jej odrodzenia i że znajdzie je tutaj. Promienne niebo, ciepło słoneczne i wolność dnia tego i wielu dni, które przyjdą w pustyni, napępniały jej serce uczuciem prawie dziecięcym. Czują się młodszą, niż przed laty, i tak płochu swawolnie niewinną, jak młode kocię lub szczenię. Czarne jej sute włosy, niezwiązane, opadły płaszczem dokoła jej silnego sprężystego ciała—i miała to rzadkie poczucie, iż poza tą drugą, bardziej tajemniczą zasłoną, dusza jej dzisiaj miała mniej nieodpowiednią towarzyszkę ze swej pary, niż to było od czasu grzechu jej matki.

Czystość—jakiż błogosławiony warunek, warunek, pełnią dzielną sycący. W tej wczesnej ranka godzinie Beni-Mora wyglądało wspaniale czysto. Domini pomyślała

o rozpaczonym brudzie ranków londyńskich, pełnym dymu powietrzu, czepiającym się czarnych drzew i szarych bruków. Czyż może być dusza czysta w takim powietrzu? Tutaj to łatwo. Tu każdy może nastroić swą lutnię do zgody z Przyrodą i być, jako palma śpiewna nad wody potokiem. Domini wzięła małą ozdobną książkę, która leżała w nocy na jej stoliku przy łóżku. Było to *O naśladowaniu Chrystusa*. Otworzyła na chybił-trafił i rzuciła wzrokiem na spromienioną słońcem stronicę. Przechyłała te słowa:

„Mitość czuwa i wśród snu nie zasypia.
Wśród pracy nie utrudza się, wśród więzów nie jest spętana, wśród trwogi nie miesza się, lecz, jak żywy płomień i gorejąca pochodnia, w górę wybucha i bezpiecznie przechodzi.
Kto kocha, ten rozumie, co ów głos znaczy.“

Promień słoneczny na stronicę tej małej książki był, jak płomień żywy i pochodnia gorejąca, o której w niej była mowa. Ciepło, światło, żywioł ognisty... Domini tak długo była zmechaniona, zmęczona na duszy, iż prawie się zadziwiła, że znajduje w sobie tak prędko odpowiedź na święty żar tej stronicy, na jasny promień, który całował ją, jak bliźni całuje bliźniego. Uklękła do modlitwy porannej, lecz to jedno zdołała wyszeptać:

„Odnów mnie, Boże! Odnów mnie, Boże! Daj mi moc czuć dzielnie, płomiennie, nawet choćbym miała cierpieć. Zbudź mnie. Daj mi czucie. Daj mi raz być żywą istotą. O, Boże! Odnów mnie, odnów“.

Modląc się tak, cisnęła tak mocno głowę do dłoni, że plamy czerwone wystąpiły na policzkach. A potem zdało jej się, jakoby ta pierwsza jej prawdziwa, namiętna modlitwa w Beni-Mora była prawie, jak rozkaz do Boga. Czy nie była taka płomienna modlitwa czasami bluźnierstwem?

Od takiej modlitwy wstała na pierwszy dzień z nowych dni swoich.

Po śniadaniu wyjrzała na róg werendy i ujrzała Batucza i Hadi'ego, siedzących razem w kucki w cieniu drzew na dole. Palili papierosy i żywo rozprawiali. Rozmowa toczyła się po arabsku i była gwałtowna. Słowa padały z naciskiem, jak chłosta. Domini nie dłużej nad minutę patrzyła przez poręcz, a już dwaj przewodnicy dostrzegli ją i z uśmiechem powstałi z ziemi.

— Czekam na panią, żeby jej pokazać miasto,—rzekł Batucz, podchodząc łagodnie na drogę, podczas gdy Hadi pozostał pod drze-

wami, wychylając zęby w sarkastycznym grymasie, który miał oznajmić Domini całe współczucie dla jej błędu — iż nie jego wybrała na swego towarzysza.

Domini skinęła głową, weszła do swego pokoju i włożyła kapełusz od słońca. Zuzanna podała jej dużą parasolkę z zielonym spodem — i wtedy zaczęła schodzić raczej powolnie. Nie była pewną, czy w tej pierwszej swojej wycieczce po Beni-Mora potrzebny jej towarzysz. Więcej było by oczywiście uroku wolności w samotnej przechadzce. Nie miała atoli dosyć serca odprawić Batucza, z całą jego godnością i determinacją. Postanowiła wziąć go na krótko i potem pozbyć się go pod łada pretekstem. Być może, zrobi trochę sprawunków na rynku i odeśle go z niemi do hotelu.

— Dobrze pani spała? — zapytał poeta, kiedy wynurzyła się na słońce.

— Doskonale,—odpowiedziała, skinąwszy głową Hadiemu, którego grymas stał się jeszcze zjadliwszym, i otwierając parasolkę. — Dokąd pójdziemy?

— Dokąd pani życzy. Jest rynek, jest wioska murzyńska, meczet, kasyno, pomnik kardynała, bazar, ogród księcia Ferdynanda Anteoniego.

— Ogród,—spytała Domini, — czy piękny?

Batucz był już bliżki ekstazy lirycznej, ale się powściągnął i rzekł:

— Pani sama zobaczy i potem mi powie, czy w całej Europie jest choć jeden do niego podobny.

— Oh! angielskie ogrody są wspaniałe,—rzekła, uśmiechając się na jego patryotyczne przeświadczenia.

— Nie wątpię. Pani mi powie, pani mi powie, — powtarzał z niezmaconą pewnością.

— Naprzód jednak wstąpię na chwilę do kościoła, — rzekła. — Poczekać tu na mnie, Batucz!

Przeszła przez drogę, minęła skromną, piętrową plebanię i zbliżyła się do kościoła, który wychodził na ciche ogrody. Zanim weszła na stopnie — i u drzwi — zatrzymała się na chwilę. Było coś wzruszającego dla niej, jako dla katoliczki, w tym symbolu wiary, osadzonym tu daleko w pośrodku Islamizmu. Krzyż prawdziwie był tu raczej osamotniony. Była świadoma tego, iż odkąd weszła tu do kraju innej wiary i gdy inna ta wiara wspierała się na fanatyzmie, uczucie jej dla własnej religii, które w Anglii od wielu lat było zaledwie letnie, od razu zyskało na

mocy. Miała szczególne, prawie mekkie wrażenie, że tu w Afryce należy stać za wiarę, nie tylko słów szmerem, by innych zniewolnić, lecz sercem gorliwie, by siebie zadowolić. Był czas, że czuła się obrończynią. Uczuła się nią dzisiaj, patrząc na ten skromny przybytek, który porównywała do ciała jednego z tych biednych świętych z Tebaidy, którzy mieszkali w odludnych stronach pustyni i których modłom wtrzyły nocne krzyki szakali i ryk dzikich bestyi. Z tem uczuciem w sercu pchnęła drzwi i weszła do środka.

Nie było w nim nic, co by okradowało, nic, co by zmysły wzburzało. Nie było w nim nawet tajemnicy, która omracza i łagodzi, bowiem potoki słońca lały się tu poprzez białe szkła okien, odsłaniając, a nawet jawiąc z emfazą, jakby z umyślnem okrucieństwem, tanie ozdoby, wytarty welwet, surowe barwy, wołające o pomstę gesty i pozy glinianych świętych. Kiedy jednak tknęła Domini święconą wodą czoła i piersi i przyklękła na chwilę na posadzce kamiennej, była świadomą, iż raczej ten nędzny dom Boży porusza w niej struny, których nie czuła w wielkich i pięknych kościołach, do których była przyzwyczajona w Anglii i na kontynencie. Przez okna ujrzała zarysy liści palmowych, drzące przy podmuchu: palce afrykańskie, czujne, z rodzajem myszkującej podejrzliwości, jeżeli nie wrogości, dokoła serca tej religii — intruza, która przywędrowała tu z odległych stron i stała w lico płonącym blaskom pustyni. Odważny, mały, skromny kościółek! Domini wiedziała, że może go pokochać. Nie wiedziała atoli, jak bardzo.

Obeszła dokoła z poważną twarzą. Tu i owdzie jednak, gdy przystanęła przed figurą świętych, uśmiechnęła się mimowoli. Były tu istotnie dziwne wota na ołtarzu Tego, który dzierżył tę Afrykę na dłoni Swej ręki, który rozkazał płonąć wspaniałości słońca, jak to widziała ostatniego wieczora wśród gór. I oto ona i ten mały kościółek, w którym stała samotna, stał się w jej myślach naraz patetycznym, jako i ta religia, którą człek jeden wyznaje pośród drugiej, także patetycznej. Bowiem tu, w Afryce, poczęła zdawać sobie sprawę z rozległości świata — i że wiele rzeczy musi się pewnie wydawać Twórcy, jako ci święci gliniarni wydają się jej.

— Oh, jakżem mała, jakżem mała! — wyszeptęła do siebie. — O, uczyni mnie większą! O, daj

mi się dźwignąć — i to tu, nie tylko tam!

Zaskrzypiały drzwi kościelne. Odwróciła głowę i ujrzała księdza, którego była spotkała w tunelu. Zbliżył się odrazu do niej, pozdrowił ją i rzekł:

— Zobaczyłem panią przez okno i pomyślałem, że może pani zechce obejrzeć nasz kościół. Myśmy tu z niego bardzo dumni.

Domini podobał się dźwięk głosu i ta naiwna uwaga. Twarz księdza także, chociaż nie wykwintna, wyglądała zacnie, mile i patetycznie, lecz z tym patosem, który był nieudany i prawie nieświadomy. Dolną część twarzy okrywały wąsy i broda.

— Dziękuję,— odrzekła. — Jużem obejrzała wszystko dokoła.

— Czy pani katoliczka?

— Tak jest.

Ksiądz spojrział uprzejmie. Było coś dziecięcego w ruchliwości jego twarzy.

— Cieszę się bardzo, — rzekł prosto. — Parafia nasza w Beni-Mora nie jest liczna, lecz poszczęśliwiło nam się w ubiegłych latach. Nasz wielki kardynał, Ojciec Afryki, lubił to miejsce i kochał dzieci swoje.

— Kardynał Lavigerie?

— Tak jest, proszę pani. Dom jego zamieniony teraz na szpital miejski. Pomnik jego jest u początku wielkiego szlaku pustyni. Żywo go atoli chowamy w pamięci i duch jego jest stale pośród nas.

Oczy księdza jaśniały, gdy to mówił. Wyraz, nieledwie tragiczny jego twarzy, szedł na zmiany z wyrazem zachwyty.

— Kardynał kochał Afrykę, to pewna! — rzekła Domini.

— Serce jego tu żyło. A jakie były czyny jego! Byłem jednym z jego *frères armés*, lecz zdrowie mi przeskodziło — a potem stowarzyszenie zostało rozwiązane.

Wyraz smutku znów wrócił do jego twarzy.

— W kraju, jak ten, i w klimacie, jak ten, jest wiele pokus, — rzekł. A ludzie są słabi. Lecz czują tu zawsze Biali Bracia, których on postanowił. To męże, pełni chwały. Niosą krzyż w najdziksze strony świata. Najbardziej fanatyczni arabowie szanują Białych Marabutów.

— Ksiądz pragnąłby pewnie być z nimi?

— Tak jest, pani. Lecz zdrowie moje pozwala mi jedynie na skromny urząd parafialnego księdza tutaj. Nie wszyscy, którzy chcą zaciągnąć się do życia najsurowszego, mogą to uczynić. Gdyby było inaczej, był bym już dawno

mniczem. Sam kardynał rozumiał, że moja służba winna być na innych drogach.

Wskazał Domini parę przedmiotów w kościele, które podziwiał i uważał za godne: rzeźbę ołtarza w niezdarne głoza, kłosy, krzyże i kotwice; biały muślin naszywany, który okrywał tabernaculum; posąg biskupa w czerwieni ze złotą mitrą, trzymającego Biblię i pastorał, i inny posąg, wyobrażający świętego z tęsknym i strawionym wyrazem, przeciągającego Biblię, na której kartach przechadzał się mały uśmiechnięty dzieciak.

Kiedy już mieli opuścić kościół, zatrzymał chwilę Domini przed obrazem, wyobrażającym św. Brunona, ubranego w płaszcz zakonny, pod którym złotemi głoskami widniały te słowa:

„Saint Bruno ordonne a ses disciples
De renoncer aux biens terrestres
Pour acquérir les biens célestes.“ *)

Uczniowie stali dookoła w pozach zabawnych nabożnego skupienia.

— Mniemam, że to jest bardzo piękne, — rzekł. — Kto może na to patrzeć, nie czując zarazem, że najwyższym aktem człowieka jest wyzreczenie?

Ciemne jego oczy zapłonęły. Właśnie w tej chwili nikłe, cienkie szczekanie z tamtej strony drzwi kościelnych doszło do jego uszu, szczekanie bardzo dyskretne i nawet pokorne, lecz jednocześnie zdradzające niepokój. Lico księdza przeobraziło się. Prawie namiętny ascetyzm jego lica rozpromieniło wejście słodkie i czułe.

— Bu-Bu mnie potrzebuje, — rzekł, otwierając drzwi i przepuszczając przed sobą Domini.

Psina biała z złotem, bardzo czysta i starannie utrzymana, siedziała na stopniach w oczekującej postawie. Jak tylko ksiądz się ukazał, poczęła gwałtownie kłębić drobne swe ciało i tarzać u nóg jego, związując się rączy w pół koła. Schylił się ku niej i poklepał.

— To mój mały towarzysz, proszę pani, — rzekł. — Nie był wczoraj, ponieważ był w kąpielce.

Zatem uchylił kapelusza i skierował się ku domowi, poprzedzany przez Bu-Bu, który odrazu przybrał wyraz świadomego majestatu, jak ktoś, co już zrodzony do przydywania na uroczystościach wybitnych osób.

Domini stała przez chwilę pod drzewami palmowemi, patrząc ku nim. Oczy jej ciągle błyszczały.

*) Święty Bruno każe uczniom
Wyrzec dobra się ziemskiego,
By dostąpić niebieskiego.

— Pani jest katoliczką? zapytał Batucz, patrząc na nią badawczo.

Domini skinęła głową. Nie miała ochoty wdawać się w tej chwili w dyskusje nad religią z marnym poetą arabskim.

— Prowadź mnie na rynek, — rzekła, pomna tajemnego postanowienia pozbycia się go, jak będzie można najprędzej.

Przeszli przez ogrody.

Dzień był niebiański. Zdało się, że wszystka czystość, wszystkie nieskrępowane światło świata obrało sobie siedzibę w Beni-Mora. Gorąco nie było jeszcze nieznośne, bowiem siła gromka słońca była wyzuta z grozy i możliwej brutalności przez jasną powiewną suchość i świeżość podmuchów. Domini stąpała rzeżko. Zdało się, że ciało jej naraz ubyło wiele lat, tak była pełna sprężystości i siły promiennej.

— Pani jest bardzo silna. Pani chodzi, jak Beduin.

Głos Batuczka był na seryo ździwiony, Domini roześmiała się głośno.

— W Anglii jest dużo silnych kobiet. Lecz ja chcę zdobyć jeszcze więcej siły. Stanę się wtedy prawdziwą Arabką. Powietrze to dodaje mi życia.

Przyszli właśnie nad drogę, gdy rozległ się tętent kopyt, i Spahi nabiłym ślicznym koniu przegalopował w szalonym pędzie, trzymając uźdę nad czerwonym łękiem siodła i patrząc w słońce. Domini patrzyła nań z krytycznym podziwem.

— Macie tu dobre konie, — rzekła, gdy Spahi zniknął z oczu.

— Pani umie jeździć konno?

Domini znów się roześmiała.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 6-go.

Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*

63. *Zygmunt Bartkiewicz.*

Przywódca. *Stefan Krzywoszewski.*

Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza №8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.